Rok 1898. Lwów, dnia 19. września. Nr. 37.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

HENRIK PONTOPIDDAN

MŁODOŚĆ.

(Z duńskiego)

Pewnego wieczoru dwóch młodzieńców siedziało w piwnicy i piło piwo.

Jeżeli młodzieńcy siedzą w piwpicy i piją piwo, to przy pierwszym dzbanku mówią chętnie o poezji i o miłości, przy drugim o pustce i trosce życia, przy trzecim o śmierci i zniszczeniu.

Obydwaj młodzieńcy znajdowali się właśnie przy trzecim dzbanie i doszli już do rezultatu, że życie wcale nie jest warte życia. Zgodzili się na to, że gdyby przeczuwano naprzód sumę cierpień, trosk i rozczarowań, które człowieka czekają na tym świecie, pragnęłoby się nie przychodzić wcale na ten świat; najrozsądniejszą zatem rzeczą, jaką zrobić można, jest: pójść czemprędzej i powiesić się.

Po tych rozmyślaniach wypili dzban do reszty, poszli po schodach na górę i wyszli na ulicę.

Wśród ponurego milczenia przeszli razem przez szereg ciemnych, pustych uliczek, w których tylko tu i ówdzie błyszczała osamotniona latarnia gazowa przez gęstą, zimną mgłę, otulająca całe miasto. Na jednym z rogów podali sobie ręce i poszli każdy w swoją stronę.

Jeden z nich był przystojny, jasnowłosy student, który nigdy przedtem nie zastanawiał się nad zagadnieniami życia. Jeszcze przed kilku godzinami był lekki i zadowolony z życia, przechadzał się po mieście z piosnką na ustach, a jego młode serce opływało w słodkiej rozkoszy życia.

Teraz szedł z powrotem do swej izdebki, z sercem przepełnionem smutkiem i z głową, która go bolała wskutek ponurych myśli.

Położył się do łóżka, aby zasnąć, nie mógł jednak znaleść spokoju z obawy, która nim owładnęła — obawy przed cierpieniami, troskami, rozczarowaniami, jakie życie zwali na jego głowę. Nareszcie zerwał się; nie mógł już dłużej znosić swego bytu. Po ciemku dotarł do biurka, otworzył szufladę, w której leżał rewolwer, używany zwykle przez niego w lecie do strzelania szczurów na wsi. Szybko go nabił i naciągnął kurek.

— Bądź zdrów, obmierzły świecie! — zawołał i przyłożył lufę rewolweru do ucha.

Nagle przyszło mu na myśl, że słyszał o jakiejś wróżce, która mieszkała pod sroką i która za złoto pozwalała ludziom widzieć ich własną przyszłość. Czyby może nie należało wpierw pójść do niej? Byłoby to naprawdę zajmującem, dowiedzieć się, jaka suma cierpień go czeka.

Ubrał się pospiesznie, schował rewolwer do kieszeni, nasunął kołnierz od płaszcza na uszy i wykradł się z domu na powietrze, w ciemne i mgliste uliczki.

* * *

Wkrótce, nad rzeką, znalazł dom wróżki. Czerwona latarnia świeciła się mdłem światłem nad drzwiami, a już zdaleka spostrzegł, jak z domku wykradały się zakapturzone postacie i znikały w ciemnościach.

Przy wejściu zatrzymał go jakiś człowieczek z czarną maską na twarzy i zapytał o jego żądanie. Ponieważ jednak student wcisnął mu w rękę złoty zegarek, skinął głową i zaprowadził go przez ogromne schody na dół, przez szereg chodników ciemnych, aż nareszcie do sklepionej groty, oświetlonej płonącym na środku stosem. Tutaj siedziała czarownica, w fotelu, z czerwonym kotem obok podnóżka i z sową na ramieniu.

Gdy ujrzała młodzieńca, powstała i poszła naprzeciwko niego, wsadziła mu okulary na nos, przetarła i naznaczyła czoło, piersi i lędźwie i zaczęła następnie tańczyć dokoła niego, podczas gdy kot na podnóżku i sowa na jej ramieniu zaczęły przyśpiewywać ludzkimi głosami. Nakoniec wsypała jakiś proszek na stos i zaczęła wołać:

— **Akkalaba! Akkalaba!**

Natychmiast napełniła się grota białą parą; wszystko zniknęło przed oczyma studenta i usłyszał głęboki, podziemny szum, tak, jakby wicher północny burzył morze.

— Co chcesz widzieć? — zawołała czarownica.

Student namyślił się. Następnie rzekł drżącym głosem:

— Moją starość!

Natychmiast rozdzieliła się mgła przed jego oczyma i zobaczył przed sobą nędzną, pustą izdebkę, w której leżał starzec na łóżku wśród łachmanów i gałganów; całe ciało okrywały rany i nabrzmienia; wił się kurczowo na swem legowisku i wpijał paznogcie w piersi i wydawał dzikie okrzyki bolu, tak, że po pustej izdebce rozlegało się echo.

W nogach łóżka siedziała kobieta w średnim wieku z ponurą twarzą i robiła pończochę.

— No, no, nie krzyczcież tak — mruknęła i zmieniła druty. — Co wam pomoże, to mruczenie? Przypomnijcie sobie, co wam powiedział doktor: macie być cierpliwi, gdyż w tem życiu już wam lepiej nie będzie. Trzeba dokończyć walki... Na to się nic nie poradzi.

Więcej student nie rozumiał. Biała mgła zebrała się znowu przed jego oczyma i znowu usłyszał głęboki, podziemny huk.

— Co chcesz widzieć? — zapytała czarownica na nowo.

Namyślał się przez chwilę. Nareszcie rzekł blady i drżący:

— Mój wiek męski!

Znowu rozstąpiła się mgła i ujrzał przed sobą wspaniale biuro z dywanami, kasą i ciężkiemi portjerami. Po pokoju przechadzał się mały, tłuściutki pan w białej kamizelce, z złotym łańcuszkiem i w zielonej czapeczce tam i nazad. Przy drzwiach stał w pokornej postawie skromnie ubrany człowiek, w którego chudej, zbiedzonej twarzy student ze zgrozą poznał swoje własne rysy.

— Czas mój nie pozwala mi mówić dalej z panem — rzekł mały, tłusty człowieczek z szczególnym ruchem ręki. — Jeżeli pan nie będziesz mógł do dziś do godziny szóstej wieczorem zapłacić czynszu, to będziesz pan wyrzucony na ulicę — to rzecz pewna.

— Ach, panie, panie — prosił człowiek przy drzwiach — była tak ciężka zima dla mnie; żona mi umarła, a ja sam leżałem cztery miesiące w szpitalu...

— Dosyć tego gadania!

— Bądźże pan litościwy, panie!

— Głupstwo! Dzisiaj o szóstej pan się wyprowadzasz!

— Ale gdzie się mam wyprowadzić? Pomyśl pan tylko, mam syna i córkę...

— O tem powinieneś mi pan lepiej nie przypominać, gdyż córka wasza jest ladacznicą, która wieczorem biega po ulicach za mężczyznami... wiesz pan sam o tem przecież. A syn pański jest nicponiem, który łazi i pożycza, od kogo się da i który skończy w więzieniu, jak żywy tutaj stoję. Czy pan sądzisz, że taką rodzinę mogę zatrzymać dłużej w domu?

Człowiek przy drzwiach spuścił głowę i milczał.

— Żebranina teraz zatem nic nie pomoże — ciągnął dalej gospodarz. — Wiem dobrze, że pan sam jesteś przyzwoitym człowiekiem; ale z przyzwoitych i pilnych ludzi żyć nie można, jeżeli nie płacą czynszu... Tu nawet Bóg nie pomoże. O godzinie szóstej ma pana nie być w domu — inaczej zawołam policji. Zrozumiano?

Mgła spuściła się znowu na grotę i obraz zniknął. Student jednak był tak wstrząśnięty swą własną przyszłością i całą tą nędzą która go czekała, że już wyciągał z kieszeni rewolwer, aby tutaj, na miejscu, pokrzyżować plany losu i wykreślić swoje nazwisko z liczby żyjących.

Wtedy czarownica zawołała znowu:

— Co chcesz widzieć?

— Mam już dosyć — bąknął i szybko naciągnął kurek.

— Trzy pytania możesz uczynić. Jeszcze ci pozostaje jedno. Co chcesz widzieć? — ciągnęła dalej.

— A więc — niech zobaczę moją młodość! — zawołał, jednocześnie jednak położył palec na cynglu, aby być gotowym do strzału.

Po raz trzeci podniosła się mgła i ujrzał przed sobą wdzięczny ogród, w którym kwiaty roztaczały miły zapach. Był to wieczór. W krzakach śpiewał słowik miłośnie, a przez gęste liście rzucał księżyc swe blaski na trawę.

Na ławce, pod liściastym bukiem siedziała para kochanków, ręka w rękę, twarz przy twarzy.

Jakieś drżenie przebiegło młodzieńca. Poznał swoje własne jasne sploty włosów pod białą czapką studencką. Ale kto była ta młoda, zarumieniona dziewczyna z temi czarnymi włosami?... Oto teraz podnosi głowę... podaje mu swe śliczne usta...

— Ingeborg! — zawołał, odrzucił rewolwer i wybiegł szybko... do życia.

* * *

W tej chwili obudził się...

NIEZAPOMINAJKI.

Noc była wiosenna, widna, cicha.

Anioł snu przeleciał nad ziemią i tchnienie jego uśpiło świat cały. Usnęły kwiaty i zioła, usnęły drzewa, brzozy pochyliły warkocze niżej ku wodzie i ziemia cicho do snu się układła. Tylko księżyc czuwał jeszcze niby stróż nocny — blady a senny.

Stali nad wodą piękni, biali, podobni duchom. On głowę jej przyciskał do piersi i całował — ona dłonią

białą gładziła włos jego bujny. A choć w tym uścisku czuli rozkosz ogromną, jednak dusze ich były smutne.

— Tak, droga, iść muszę... duszę tu moją zostawię i serce... i choć mi bardzo ciężko... pójdę, kędy mnie król posyła. Nie wolno mi się wahać, a nadto i sława dla mnie w tem poselstwie.

— Nie chodź, nie chodź, jedyny...

— Jam rycerz, droga, nie mogę dla miłości zapominać o ojczyźnie i obowiązkach.

— Wiem, wiem... jam dumna z ciebie... ale tak lękam się czegoś — przeczucie mam jakieś niedobre... Pójdziesz w kraj daleki... na długo... obaczysz tam piękniejsze i zapomnisz...

Rozśmiał się na samo przypuszczenie zdrady.

— Jakaś ty dziecinna, ja miałbym zapomnieć o tobie?

A gdy drżąca tuliła się do niego, chwycił oburącz jej śliczną głowę i patrząc w promienne oczy, powtórzył wzruszony:

— Miałbym zapomnieć o tobie? Prędzej ten miesiąc zboczy ze swej drogi i spadnie, prędzej te fale zawrócą w biegu...

— Idź i wracaj prędko — rycerzu mój — codzień tu przyjdę nad wodę, będę myślała o tobie i czekała twego powrotu.

— I ja codzień będę myślą przy tobie, a wietrzyk wiosenny jak dzisiaj, codzień przyniesie ci me pozdrowienie i pocałunki — kochanie ty moje jedyne...

— Miłujesz mnie? powiedz mi raz jeszcze na pożegnanie — prosiła cicho.

— Do końca żywota... do ostatniego tchu.

— Bywaj zdrów...

— Bywaj zdrowa...

— Pamiętaj, nie zapomnij...

Żegnali się długo, a księżyc patrzył i słuchał ciekawie.

* * *

Mijały dni—tygodnie. Dziewczyna czekała na swego rycerza smutna, stęskniona. Aż naraz przyszła wieść straszna. Poselstwo się powiodło, lecz rycerz opóźniał swój powrót, bo król miał córę piękną i zalotną. Jak piorun spadła ta wiadomość na biedną dziewczynę. Ogłuszona ciosem, nieprzytomna poszła nad rzekę — tam, gdzie się żegnała z kochankiem. A noc była tak samo jak wtenczas, srebrna, pogodna. I znowu księżyc przeglądał się w wodzie. Fale płynęły wciąż dalej a dalej, migocąc i błyszcząc jak pancerz srebrzysty.

Dziewczyna spojrzała nieprzytomnym wzrokiem, i naraz świadomość wróciła — wróciła pamięć, kochanie, męka... I dusza wiła się z bólu.

A fale płynęły wciąż dalej a dalej. I migotały srebrem i szemrząc wabiły ku sobie. Dokoła odzywały się jakieś głosy tajemnicze, słodkie i wołały dziewczynę w otchłanie, obiecywały spokój, ukojenie.

I zwolna poczęły spływać na te fale: cały jej ból i żal i męka i kochanie i, płynęły wraz z niemi wciąż dalej a dalej. Potem ozwał się plusk, fale bryzgnęły w górę i spadły deszczem gwiaździstym na powierzchnię wody. I poczęły się tworzyć koła — jedno za drugiem — coraz większe — a potem przyszły nowe fale i zabrały je z sobą...

W kilka dni woda oddała swą ofiarę i złożyła cicho na łące. A w miejscu tem wyrosły drobne kwiateczki niebieskie, które mówiły: „nie zapominaj... nie zapominaj“...

* * *

Tej samej nocy, w obcym kraju przechadzał się rycerz nad wodą i rozmyślał. Wiele, wiele minęło tygodni a on siedzi tu na obcym dworze, przykuty czarem zalotnej królewny i przedłuża z dnia na dzień swój pobyt, a tam czeka na niego z utęsknieniem oddane mu serce.

I stanęło mu przed oczyma pożegnanie ze słodką dziewczyną... ta noc miesięczna... przysięgi, zaklęcia. Widział swą zdradę, podłość i nędzę swoją. I poczuł wyrzuty sumienia i skruchę. Potem wezbrał mu w sercu żal ogromny jak przypływ fali — tęsknota bez granic i chęć powrotu do kochania zdradzonego.

Nagle ogarnął go jakiś lęk nie pojęty.

Miesiąc schował się był za chmurę, trzciny nadbrzeżne tajemniczo zaszeleściały i coś niby duch, niby mgła lekka pomknęło nad wodą. Stada czajek zerwały się naraz z krzykiem i poczęły krążyć w około i jęczeć i kwilić...

* * *

Nazajutrz wracał rycerz do swoich. Zastał swe kochanie w mogile... na łące nad rzeką... Z głuchą rozpaczą w sercu poszedł na grób i padł nań nieszczęsny. A w koło powstały jakiejś szepty, westchnienia i słyszał wyraźne słowa: „nie zapominaj, nie zapominaj“... I począł uciekać przed tym głosem obłąkany, szalony, a głos gonił za nim wszędzie, wszędzie. Przygnał go wreszcie mór nad rzekę, która porwała go chciwie.

A drobue kwiatuszki niebiesnie szeptały wciąż: „nie zapominaj, nie zapominaj!“..

* * *

Odtąd jest niezapominajka symbolem pamięci. I kto z rąk kochanych weźmie ten kwiatek — nie zapomni. A choćby i zdradził kochanie swoje, gdy ujrzy na łące to drobne kwiecie, posłyszy głos: „nie zapominaj“ — pamięć mu wróci. I głos ten pójdzie za nim przez morze, przez góry — do końca żywota i nie da mu spokoju...

Gwiazdor.

ADAM KRAJEWSKI

AMOR VIXIT.

Nowela.

Ciąg dalszy.

Tymczasem mijał dzień za dniem, a Malwina nie miała o Albinie żadnej wiadomości. Gniewało ją to; czyżby bowiem Albin istotnie tak rychło się wycofał. Myśl, że tak być mogło, że przeraził się tym warunkiem, który mu postawiła, zrodziła w jej sercu obrazę, bo potwierdzała tylko to, o co Albina posądzała, że mianowicie sądził, iż zostanie może jego kochanką, jak pierwsza lepsza dziewczyna z gminu...

Teraz, w obec tego, że ciotka choć nie wiedziała o wszystkiem, ale wszystkiego się domyślała, nie miała Malwina bynajmniej chęci odgrywania roli pokutnicy. Wszystkie te przejścia i dziwne zachowanie się Albina i surowa mina ciotki, wytworzyły w niej powoli upór i dążność postawienia na swojem, bezwzględnie na to, co się potem stanie. Do postanowienia tego przyczyniły się niemało i nudy wielkopostne, wśród których obiecywała sobie Malwina tyle po stosunku z Albinem; to wszystko miałoby spełznąć na niczem? Nie! na to ona żadną miarą nie może pozwolić.

— Musi grę skończyć, kto wziął do rąk karty! — powiedziała do siebie pewnego wieczora, oczekując daremnie na zjawienie się Albina. Była dzisiaj znowu sama, wyprawiwszy ciotkę na parę dni. Stara, widząc że Malwinę nikt i nic nie przekona, nie probowała już perswazji, i sądziła znając kaprysy siostrzenicy, że i ten przejdzie jak przyszedł. Uważała nawet za stosowne patrzeć przez palce na wszystko, aby nie zwiększać uporu dziewczyny. Jak wszystkie bowiem natury kapryśne i popsute, lubiła zawsze tak zrobić jak jej odradzano.

Nudziła się piekielnie w długim dniu zimowym. Patrzyła w wirujące na ulicy białe płatki śniegu i myślała nad tem, jak przecież przewrotnym tworem są mężczyźni, że żadnemu z nich zawierzyć nie można. Nawet ten Albin, żebrzący ją o łaskę i dawniej i nie dawno, stchórzył i uciekł na myśl samą o możliwej z jego strony ofierze dla jej miłości. Malwina wiedziała dobrze, że to, co od niego zażądała, nie było wcale ofiarą nic nie znaczącą, zdawała ona sobie z tego sprawę doskonale, ale w najwyższym stopniu samolubna, była pewną, że ofiarowanie Niny dla niej przez męża, nie jest jeszcze czemś tak bardzo wysokiem. Siebie i swoje względy ceniła ona znacznie wyżej, ba... przeceniała się formalnie.

I teraz nie mogła sobie tego wyobrazić, jak mógł Albin po tem, co onego wieczora zaszło między nimi, po tych słodkich chwilach, które nawet, na myśl o nich, ją samą rozkosznym dreszczem przyjmują, — nie pokazać się więcej. Rumieniec wstydu palił jej lica, gdy pomyślała, że na tej samej kozetce, gdzie teraz siedziała, trzymał ją w objęciach, tulił do siebie, pieścił i całował. Przymknęła oczy i uprzytomniła sobie to wszystko; kto wie nawet, czy nie byłaby rada, gdyby to, o czem w tej chwili marzyła, przemieniło się w rzeczywistość. Gdyby się tak w tym momencie znalazł koło niej, obok niej, zapewne nie broniłaby mu się...

Tak jej się coś przez głowę przesunęło. Byłto jednak tylko chwilowy błysk, taka sama chwila słabości kobiecej, jak wtedy. Szybkim ruchem wstała z kanapki i zła na siebie i na swe myśli, poczęła się szybko przechadzać po saloniku. Nietylko ją Albin upokorzył, nawet i własne jej myśli ją upokarzały. Bo przecież upokorzeniem mogła nazwać śmiało pragnienie pieszczot od mężczyzny, który ją zlekceważył i opuścił. Wszakże było lekceważeniem takie postępowanie, na jakie sobie Albin pozwolił. I ona miałaby mu to przebaczyć, miała uznać sprawę za skończoną i nawet pogardy w twarz mu nie rzucić? Nie byłaby chyba Malwiną, gdyby tak miała postąpić.

Choćby miała doznać jeszcze jednego upokorzenia, musi na swojem postawić i skończyć zwycięsko grę, raz zaczętą. Takie powziąwszy postanowienie, przeszła do budoaru i tu, rzuciwszy się na krzesełko przed eleganckiem biurkiem stojące, położyła przed sobą kartkę papieru i umoczywszy pióro, myślała jak zacząć.

Namyślała się długo, bo duma jej niewieścia walczyła w niej z oburzeniem i pragnieniem zemsty nad niewiernym. Nie pomyślała ani na chwilę nad tem, że przecież nie mogła była, nie powinna była nawet wymagać dochowania wiary od tego, od którego wymagała złamania zaprzysiężonej wiary żonie. Była przecież egoistką i tylko własne „ja", podrażniona i obrażona miłość własna, grały u niej rolę w pierwszym rzędzie. Wiedziała o tem bardzo dobrze, jak fałszywy krok robi, pisząc znowu do Albina, atoli namiętności przygasiły w niej nawet do pewnego stopnia uczucie kobiecego wstydu.

— Gdyby — myślała — skończyło się było wszystko na niewinnym flircie, gdyby nic więcej nie było między nią a Albinem, byłaby może nawet nie pomyślała o nim więcej; ale teraz, gdy choć tydzień prawie minął, czuła jeszcze żar jego pocałunków, czyż mogła mu przebaczyć, iż uczynił sobie z niej igraszkę chwilową? Zapomniała o tem zupełnie, a raczej chciała zapomnieć, że to ona pierwsza wezwała go do siebie, że gdyby nie była mu nic odpisała na jego list ówczesny, byłby nigdy nie odważył się przestąpić jej progów i niemiałaby najmniejszych powodów do wyrzutu lub nienawiści. Co najwyżej mogła była wyśmiać się z niego porządnie i na tem byłby koniec. Obecnie sytuacja się zmieniła; płazem tego puścić nie może i nie puści.

Musi stanąć między nimi na czysto. Musi się z nim raz jeszcze zobaczyć i pomówić, rzucić mu w oczy niegodziwość jego postępku i upokorzyć tak, aby całe życie popamiętał, że z kobiety takiej jak Malwina, nawet w chwili słabości drwić bezkarnie nie wolno.

Zamiar swój w czyn wprowadzając, pisała szybko:

„Panie Albinie! — Nazwij pan jak chcesz mój krok, że piszę do pana, — choć pisząc czynię sobie wyrzuty, — że mogłam choć na chwilę uwierzyć gładkim słówkom jego i przyjmować za dobrą monetę to, co było tylko złym i niewiele a właściwie nic nie wartującym liczmanem. Nie mogę sobie darować, że odpisałam mu na jego pierwszy list szalony, i że w dobrej wierze przyjęłam pana u siebie, chcąc mu wytłómaczyć i objaśnić niewłaściwość jego postępowania. Zamiast zrozumieć mnie i przeprosić, żeś mnie pan swem wyznaniem — myślałam wpierw, że poniewolnie — dotknął i obraził, poszedłeś pan jeszcze dalej, skorzystałeś z chwilowej słabości i nie uznałeś później za stosowne wytłómaczyć się z tego i przeprosić za zapomnienie się. Gdybym ostatecznie nawet

sama panu to przebaczyła, gdybym zapomniała o tem, co między nami zaszło, zawsze jeszcze pozostanie to z pańskiej strony wielką niedelikatnością, że i w dniach następnych nie zdobyłeś się pan na parę słów usprawiedliwienia i uznałeś za stosowne pominąć milczeniem to wszystko, co panu wcale zaszczytu nie przynosi. Co pan sobie właściwie, mój panie wyobrażałeś i czy zastanowiłeś się z kim masz do czynienia? Sądzę że nie; gdy się panu nie udało zawiązanie łatwej, nic nie obowiązującej miłostki, sądziłeś pan, że najlepiej zrobisz, gdy się usuniesz cichaczem i wycofasz z tej — prawda — niewygodnej pozycji, i sądziłeś także, że ja, kobieta nie przyzwyczajona do takich szczególnych form towarzyskich, dam za wygranę i jak pensjonarka lub gąska mieszczańska, przyjmę pańską widoczną obelgę. Tymczasem omyliłeś się pan bardzo, i mnie przypadło w udziale dać panu naukę, która może mu się przyda w przyszłości, gdy kiedyś znudzony „słodkiem" życiem małżeńskiem, zapragniesz świeżych zdobyczy. Dlaczegożby nie? Wszak tak pan jesteś siebie pewny, tak pewny sukcesów na punkcie zdobywania serc niewieścich, żeś pan usiłował nawet mnie nie oszczędzić, mnie, której zapatrywania i zasady są mu bardzo dobrze znane.

Niech pan nie sądzi, jakoby mi szło o pańską przyjaźń lub znajomość. Swojem postępowaniem zmazałeś pan wszelkie rachunki, jakie mogłyby być kiedykolwiek między nami do wyrównania i mam nadzieję, że się więcej nie zobaczymy"...

Na tem urwała i przebiegła oczyma napisane wiersze listu. Policzki jej, podniecone treścią listu, pałały, a ręka drżała nerwowo. Kilka razy zamyśliła się nad pojedynczymi wyrazami, które się jej nieco przyostrymi wydawały, ale ruchem głowy wyrażała, że wszystko co napisała, zgadza się z jej przekonaniem.

Nad ostatnim wyrazem „nie zobaczymy" zatrzymała się dłużej. Czy wierzyła w to, że Albin po otrzymaniu takiego, pełnego wyrzutu listu, nie pokaże się jej więcej na oczy? — Wszakże zamiarem jej było właśnie podrażnić ambicję Albina i rzucić go do swych stóp na łaskę i niełaskę.

Wrodzona dyplomacja kazała jej dopisać jeszcze parę wyrazów; pomyślawszy więc chwilę, dodała:

...nie przypuszczam bowiem, ażebyś pan znalazł w swej bojaźliwej duszy na tyle śmiałości, ażeby teraz jeszcze po tylu dniach chcieć się tłómaczyć"...

Mistrzowskiem jednak było, bezpośrednio po tem, zakończenie listu temi słowami:

„Byłoby to jeszcze o tyle niemożliwszem, że jestem samą, ciocia bowiem wyjechała na dni parę, a znając pana teraz, wątpię czybyś pan znalazł odwagę narażać się na ludzkie języki, gdyby pana u mnie zobaczono. Spodziewając się, że się więcej już nie zobaczymy, pozostaję z poważaniem *Malwina*"...

Pewną była, że gdy otrzyma ten jej list, przyjdzie; sama przecież, niby widząc w odjeździe ciotki przeszkodę, wskazała mu, że będzie samą. Włożyła list do koperty i wychodząc wkrótce potem do miasta, do najbliższej skrzynki pocztowej wrzuciła. Odeszła zadowolona ze siebie podwójnie. Bo gdyby nawet Albin także wziął na upór i nie pokazał się więcej, miała przynajmniej to zadowolenie, że go bodaj na piśmie ciężko upokorzyła.

Albin mimo wewnętrznego zadowolenia po otrząśnięciu ze siebie ciężkiej zmory, jaką była dlań przez tak długi czas namiętność do Malwiny, przecież gdy był sam, rozważał w sobie, że istotnie niegodnie postąpił sobie z Malwiną. Od dnia mianowicie spotkania z ciotką, robił sobie wyrzuty, że należało przecież przeprosić Malwinę. Ale z drugiej strony nie umiał sobie wytłómaczyć tego, jak to uczynić. Czuł całą śmieszność swego położenia. Po tem czego od niego żądała, a czegoby on za żadne skarby świata nie zrobił, miłośny między nimi stosunek istnieć nie mógł; miał sposobność się przekonać, że kobieta taka jak Malwina, nie zniży się do roli kochanki... Ależ w takim razie obraził ją śmiertelnie; jak jednak błagać o przebaczenie. Jak to nawet zacząć się i jakiemi słowy tłómaczyć? — Czy nareszcie, sądząc z miny ciotki, jeżeli się już wszystko wydało, czyż nie gotów się narazić na nieprzyjęcie. Tak więc było źle i tak nie dobrze. Nie widział prawie wyjścia z tej przykrej sytuacji, w którą go wtrąciły najprzód fałszywa ambicja, a następnie szaleństwo prawdziwe. Martwiło go to a niepokoiła jeszcze jedna rzecz. Nie miał pewności, czy Nina nie wie o czem. Nie dawała mu nigdy niezem poznać, jakoby się domyślała jakich dusznych u niego rozterek, ale bywały chwile, gdy jakiś delikatnie przez nią wymówiony dwuznacznik, jakaś aluzja, utwierdzały Albina w mniemaniu, iż się może czego domyśla, a może i wie o wszystkiem. Dlaczego mu jednak — pytał siebie — nie robi scen zazdrośnych, do czego tak była dawniej skłonną? A może się mylił?

Było to dla niego zagadką, trudną do rozwiązania, upokarzającą podwójnie, bo jeżeli Nina o czemś wiedziała, to w takim razie on sam w obec niej był w bardzo niewygodnej pozycji. Bywały i takie chwile, gdy pragnął, ażeby mu Nina coś powiedziała, ażeby mu robiła wyrzuty; byłby się już zdecydował na jakąś scenę zazdrości, byleby raz wyjść z tej atmosfery nieznośnej, która go formalnie dusiła, Tymczasem na horyzoncie ich małżeńskiego pożycia, nie było teraz chmurek. Nina była dla niego zawsze czułą, zawsze anielsko słodką, tylko miejsce dawnej, dziecięcej uległości i wiary bezwzględnej, zajęła jakaś energja, żywość, przeplatana niekiedy trochę złośliwym humorem, wśród którego wybuchów Nina przekomarzając się z mężem, rzuciła nieraz jakieś słówko które go w kłopot wprawiało. W takich chwilach zdawało mu się, że czyta w jej modrych oczach uśmiech politowania dla siebie i uśmiech taki wywoływał mu rumieniec wstydu na policzki. Po za tem nie było nic więcej. A jednak dziwił się tej zmianie w usposobieniu żony i nie mógł sobie wytłómaczyć, zkąd i kiedy to przyszło.

Gdy tak schodził dzień za dniem, a Malwiny nic mu nie przypominało, ogarnęła go powoli obojętność na to, co się jeszcze stać mogło. Zacierała się w jego mózgu pamięć tego, co zaszło przed niewielu dniami, gdy pewnego poranku otrzymał z poczty list Malwiny.

Po piśmie poznał, od kogo pochodzi, ale namyślał się długo, zanim zdecydował się go otworzyć. Cóż było łatwiejszego nadto, ażeby to uczynić i przeczytać, co zawierało to znane mu tak dobrze pismo. Dziwne! — gdy za pierwszym razem drżał z niecierpliwości, aby módz odczytać wyrazy od uwielbianej Malwiny, teraz nie mógł się zdecydować na rozerwanie koperty; chciał oczyma i myślą przeniknąć tajemnicę, którą zalepiony papier uwięzioną w sobie trzymał.

Zdecydował się nareszcie. Wolno, jakby zbierał w sobie odwagę do odczytania tego co mu list przynosił, i jakby chciał zyskać na czasie, dobył z kieszeni scyzoryka i rozcinał rąbek koperty. Skończył; wyjął woniejącą kartkę, rozgiął i czytać począł. W miarę jak przebiegał oczyma te z namiętnością i złością pisane litery, twarz jego to bladła, to różowiała. Przeczytał raz i drugi, a w końcu usiadł przy biurku, położył list przed siebie, sparł głowę na dłoni i zamyślił się głęboko nad tem, co mu to pismo powiedziało.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JAN PIETRZYCKI

POEZJE.

Morze.

Srebrzy się pianą, a fala po fali
Z szeptem nadpływa tuż jedna za drugą;
Ten szept melodją melancholji długą
Czemuś się skarży, czemuś światu żali...

Szum rozszalałych żywiołów w oddali!
Widno, jak orkan wzbił się czarną smugą
I jak potęgą grozi światu długo
Ponad ławicą tęczową korali...

Ale są chwile, że morze opada
I fijoletu kładą się nań cienie,
I fala płynie spokojna, a blada.

Słoneczne, złote muskają ją cienie.
Duch Ukojenia zapełnia przestworze,
W majestatyczne spoglądając morze.

Młodość chce kochać...

Młodość chce kochać i żądzą się wpija
W miłości ciało, rozkoszne, dziewicze.
Z ust jej karminu nektary wypija,
Pragnie rozkoszy! Ta rozkosz ją bawi...
Goreje żarem i sama się trawi –
Jej grzech — jej cnotą... Jej tchnienia — słodycze...

Młodość chce kochać... Jak złotych ciem roje
Biegą śród szału, gdzie płomień zagości,
Chociażby skrzydła spaliły w nim swoje —

Tak młodość, w marzeń owiana mamidła,
Leci szalona do ognia miłości —
Chociażby spalić w nim miała swe skrzydła!

Ja Cię przyzywam!

Ja Cię przyzywam, zejdź do mnie z obłoku!
Czy łzę, czy uśmiech mi niesiesz w swem oku,
Czy jesteś życia, czy śmierci wysłanką —
Losów kapłanko!

Nie wiem, gdzie mieszkasz; lecz czuję przy sobie
Nieraz twą postać — i nieraz się pieszczę
Myślą nadejścia... To znowu złowieszcze
Mary mnie trapią... Gdzie wstaniesz, kim będziesz
I gdzie mą duszę na wieki posiędziesz —
W marzeń kolebce — czy grobie?..

G. VERGA.

TYGRYSICA

Powieść.

(Przekład z włoskiego).

Ciąg dalszy.

— Słyszałeś już historję o Alfonsie? O Alfonsie pięknym? To naprawdę pech! Jak się zdaje, kamerdyner jego nie jest złodziejem, a jego żona musiała już coś wiedzieć o tem, zanim go policja wzięła za kołnierz; słowem, pewnem jest, że Alfonso powykręcał sobie niemal język, aby go wydobyć znowu na wolność, z obawy przed czemś gorszem jeszcze.

— Pomimo całej potęgi umysłu jest Crespi jednak głupcem. Baronowa prowadzi go za nos i stara się mydlić mu oczy, iż Giulio i jego trzech poprzedników nie byli nigdy czemś innem, jak tylko przyjaciółmi.

— Turcy są przecież najrozsądniejszymi ludźmi na świecie!..

— Widzieliście markizę dziś wieczorem? Do licha, co za ramiona!

— A jaka masa pudru!

— A potem ta Stael, ta stara szkapa dorożkarska

z temi loczkami i wywróconemi oczyma, tak jakby w żołądku miała węża!

— O Hersylji już nic więcej wiedzieć nie chcę, mój kochany. Nudzi mnie — a zresztą, wiecznie jedna i ta sama historja.

— Mój kochany Bassano! Kobieta jest przedmiotem zbytku. Gdybym był tak bogaty, że mógłbym sobie trzymać sześć koni zamiast dwóch, to w takim razie mógłbym sobie pozwolić i na kochankę.

— Kochałem się dwa razy, przyjacielu, i mam dosyć tego. Pierwsza była kokietką, która codzień kosztowała mnie parę rękawiczek, druga uczuciową gęsią, zazdrosną o wiatr i o dym z mego cygara. Gdy kwieciarka podała mi bukiecik, żądała zaraz wyjaśnień, a łzy jej padały mi na krawat. Nie, wolę już celibat duszy, chyba, że znajdę Wenerę tak głupią, jak gęś. A nasz poczciwy La Ferlita! Ktoby to pomyślał!

— Przeczuwałem to, widząc, jak we Florencji rzucał dokoła siebie pieniędzmi, że aż mnie włosy na głowie powstawały i robiło się straszno na duszy.

— No, ale temu wszystkiemu położył już koniec.

— Ależ kochani przyjaciele — przerwał De Natale rozmowę — mówicie tak właśnie, jakbyście nie mieli ani matek, ani sióstr, ani żon...

— Oh, co się tyczy żon... gdyby na świecie była chociaż jeszcze jedna tak dobra i łagodna, jak moja, to radziłbym wszystkim moim znajomym i przyjaciołom, aby się żenili.

— Mój kochany De Natale, siostra nie jest żoną, i dlatego też, mówiąc otwarcie i nie chwaląc się tem bynajmniej, czuję się przy mojej bardzo dobrze.

— I ja wiem, że są kobiety godne szacunku i poważania i miłości — zgodził się Falchi — ale to wiem tylko przypadkowo.

— A więc, jeżeli wasze wyjątki przypadkowo są tak liczne, jak wy sami, nie wyłączając sceptycznego Crespiego, którego sceptycyzm przy baronowej wziął w łeb co się zowie, to dlaczegoż nie chcecie przyznać, że La Ferlita pomimo więzów małżeńskich może być szczęśliwym?

— A któż temu zaprzecza? Podajno mi cygaro...

— No, dziękuję, ale to nie w moim guście.

— Przecież sam z naciskiem użyłeś wyrażenia „więzy małżeńskie“!

— Nie żądam nic więcej, jak tylko, o ile można najpóźniej stać się szczęśliwym.

— Idźże! Czy chcesz dlatego tylko wziąć piękną kobietę, aby słusznie czy niesłusznie być o nią zazdrosnym, a gdy będziesz miał dzieci, mieć zawsze obawę i troskę, że możesz je w dziecięcym wieku zostawić sierotami? Byłby to błędny egoizm, któryby cię bardzo drogo kosztował.

— Słowem i ty, De Natale, jesteś zdecydowanym i szczęśliwym małżonkiem. Jesteś zadowolony, my wszyscy jesteśmy zadowoleni, a zatem *mein Liebchen was willst du noch mehr?*

— No, no!

— Najlepiej byłoby, gdybyśmy się zapytali Giorgia. Dajmy mu przyrzeczenie, że jego żona nic się o tem nie dowie, a z pewnością powie nam prawdę... — rzekł Falchi.

— Moi kochani przyjaciele — odparł De Natale — jestem takim samym wielkim egoistą, jak Giorgio i proszę was zastanowić się, że nasz sposób używania szczęścia, nie kosztuje nas nic, nie nakłada nam żadnych więzów i jest prostym i spokojnym. Gdy w pogoni za waszem szczęściem — co każdy z was pod tem określeniem „szczęście“ rozumie — połamiecie sobie nogi, wtedy dopiero przyznacie mi słuszność. A wiesz ty, dlaczego twoja sardoniczna mina nie imponuje mi wcale, mój kochany Falchi? Ponieważ wiem doskonale, że w tej chwili, gdy z cygarem w ustach i z rękami w kieszeni wyciągasz się na fotelu i uśmiechasz się pod wąsem, myślisz o tem, jakie szalone sumy kosztuje cię Giuditta, że baronowa pozwala na to, aby jej nadskakiwał ktoś inny i że twój stosunek do wiadomej damy — wiesz, kogo mam na myśli — zaczyna cię nudzić i że już trwa za długo.

— Same doskonałe przyczyny dla ciebie, mój drogi De Natale, które cię uchroniły przed tem połamaniem nóg. Jeżeli jednak Giorgio uczynił co innego, a nie połamał ich, to jednak wiem, że we Florencji doprowadził ją do stanu, który w każdym razie był godniejszym św. Bonifacego, niż ministra w pałacu Vecchio.

— Słuchaj Bassano, czy znałeś tę Rosjankę, która mu wtedy tak zawracała głowę?

— Nie, była wtedy niewidzialną. Mówiono, że jest tak chorą, że nawet Giorgia musi brać na djetę homeopatyczną.

— Miała być bardzo piękna. Jedni twierdzą, drudzy temu zaprzeczają, — ale kobieta, która komuś udziela swej miłości w dozach homeopatycznych... brrr!..

— I Giorgio puścił ją w trąbę?

— Nie, przeciwnie, ona go wysadziła z siodła!

— No, jak się zdaje, to Giorgio się pocieszył.

— A ona poszła i umarła w kącie jakiegoś hotelu, jak to robią zawsze te suchotnicze wielkie damy, które przybywają z północy.

— Ponieważ właśnie mówimy o suchotach i o wielkich damach — to poznałem w hotelu kąpielowym w Aci Reale jedną z nich i byłby to w istocie dziwny przypadek, gdyby to była dawniejsza kochanka Giorgia. Jest Rosjanką — a zatem rzecz nie bardzo niemożliwa.

— Ładna?

— Suchotnica, mój kochany, skóra i kości, a szare oczy t a k i e wielkie.

— Znam ją — rzekł doktor Reudona — mam ją w kuracji.

— Jakże się nazywa?

— Któż to wiedzieć może? Każe się nazywać signorą Conti, ale nigdy nie wymawia tego nazwiska, jakby było tureckiem.

— I Rosjanka Giorgia mieszkała we Florencji pod przybranem nazwiskiem.

— Musiała, jak sądzę, być kiedyś piękną — ciągnął Reudona dalej — ma jeszcze dziś cudne oczy.

— I żadnej nadziei?

— Prawie żadnej. Znajduje się w trzecim okresie, nawet w końcu trzeciego. Z lewego płuca ma jeszcze tyle, co dłoń dziecka, prawego nie ma wcale. Moja cała wiedza nie może uczynić nic więcej, jak powstrzymać śmierć na jakieś dwa, trzy tygodnie. Nie pojmuję jak ci lekarze z północy mogą nam przysyłać chorych prawie na trzy czwarte umarłych. Wyobraźcie sobie tylko, zrobić taką długą podróż w takim stanie! Coprawda, z powrotem już tej podróży robić nie będzie!

Giorgio wszedł właśnie w tej chwili i oparty o drzwi słyszał ostatnie słowa doktora; nie rzekł ani słowa. Gdy doktor skończył swoje opowiadanie, nastąpiła chwila milczenia, tak jakby jakiś cień padł na humor trochę hałaśliwego dotychczas towarzystwa.

La Ferlita przesunął kilkakrotnie ręką po czole i stara się sam pchnąć rozmowę. Niektórzy z panów zaczęli spoglądać na zegarki i żegnać się,

— Zostań jeszcze na chwilę, Reudona — rzekł pan domu, podczas gdy podawał ręce na prawo i na lewo, żegnając się. — Herminja zdaje mi się ma trochę gorączki.

Gdy Giorgio podał mnie rękę, zatrzymał ją silnie na chwilę, jakby mi chciał coś powiedzieć, a jednak nie otworzył ust. Potem uścisnął mnie gwałtownie za rękę dwa czy trzy razy i puścił ją.

— Do widzenia i prędko, wszak prawda? — rzekł przytem.

*

Reudona dogonił mnie na ulicy i szliśmy jak zwykle, razem do domu.

— Ma rzeczywiście trochę gorączki — oświadczył mi — i jest jeszcze słaba. To mnóstwo ludzi, a szczególniej kobiety zmęczyły ją. Ale co do djabła brakuje jej mężowi? Chciał się dowiedzieć tysiącznych rzeczy o chorej. Czy rzeczywiście djabeł wsadził tutaj swoje rogi? No, w każdym razie długo ich tu trzymać nie będzie.

Rozdział IX.

Dobre przyjaciółki, udzieliwszy ostatnich dobrych rad, oddaliły się; szelest trenu od sukni teściowej ucichł, dziecko spało w swej biało-niebieskiej kołysce, a i matka zaczęła powoli zasypiać.

Giorgio siadł w nogach łóżka. Cisza, milczenie, przyćmione światło były wielkiem orzeźwieniem dla jego duszy i do piersi jego zawitał jakiś uroczysty pokój. Ściany i sprzęty patrzyły się na niego jakby szczerze uśmiechnięte, a jednocześnie miały dla niego coś nowego, tak że zaciszny pokój czynił jakieś pełniejsze wrażenie, gdyż mała, wsunięta w kąt niebieska kołyska zapełniała wielką lukę między kanapą a łóżkiem.

Na ulicy słyszano jeszcze szmery zasypiającego miasta, szybki tętent dążących do stajni koni, zamykanie ostatnich drzwi i okien, szybki krokie ludzi wracających z kawiarń i teatrów do domu, tylko częściowo zrozumiałe rozmowy — a do tych wszystkich odgłosów zdawał się mieszać cokolwiek nieregularny oddech rekonwalescentki z zaledwie dosłyszalnym oddechem malca, który spał obok matki.

Oczy Giorgia przenosiły się z łóżka na kołyskę, gdzie spoczywały z miłością — a z tych dwóch słabych istot, które tak spokojnie i bezpiecznie spały pod jego oczyma, wychodziła wielka siła, potężna jakaś pełnia życia, tak, że dywan pod jego nogami i poręcz kanapy, na której spoczywała jego głowa, wydawały mu się miększemi, powietrze duszne pokoju łagodniejszem, światło lampy jaśniejszem. Znużenia nie odczuwał wcale, cisza po hałasie i paplaninie dnia była już sama przez się spokojem.

Nie miał świadomości swego szczęścia, a jednak instynktownie odczuwał radość, gdy porównywał obecnie swoje położenie z położeniem swych przyjaciół, którzy, jak mu to było wiadomo, więcej byli dręczeni troską i niepokojem życia.

W stanie półsnu, w który powoli się pogrążał, przypominał sobie przeciwieństwa w ich rozmowach i czynach, a i burze, które szalały w jego własnej duszy, dzikie i niezadowalniające tej duszy rozkosze, gorączkowe pragnienia jego własnej przeszłości przeciągały przed okiem jego ducha, tej przeszłości, która wczoraj wydawała mu się jeszcze tak daleką i sprawiała mu coś w rodzaju bolesnego niepokoju, a która teraz wskutek ostatnich słów przyjaciół i opowiadania doktora znowu się do niego zbliżyła.

Powoli zapadał w głęboką zadumę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

Nowe książki. W Warszawie wyszło wydanie pośmiertne poezji Jana Niesłuchowskiego, zawierające akwarelki myśliwskie i wiersze liryczne, poprzedzone krótkim życiorysem autora. — F. Audebrand: „Czy Napoleon był szczęśliwym?“ z oryginału francuskiego przerobiła Helena Maciejowska. Warszawa 1899. Dzieło to ułożone w formie rozmowy. Kazimierz Król i Jan Nitowski. „Podręcznik do nauki literatury polskiej“ Warszawa 1898 — Stefan Żeromski: „Utwory powieściowe“ (Na pokładzie. O żołnierzu tułaczu, Tabu, Cienie, Kara, Legenda o bracie leśnym, Promień)“. Warszawa 1898. — Ks. Wł. Zaborski: Najstarsze ludy na świecie, studjum etniczno-religijne.

Przekłady. Dzieło ks. Walerjana Kalinki p. t. „Sejm czteroletni“ wyszło w przekładzie niemieckim p. t. „Der vierjährige polnische Reichstag“ w dwóch tomach. Berlin, Mittler i syn.

Dyrekcja teatrów warszawskich utworzyła posadę drugiego reżysera dramatu i komedji i powołała na nią artystę teatru Rozmaitości p. Bolesława Leszczyńskiego. Na stanowisku pierwszego reżysera pozostaje p. Ładnowski, inspektorem repertuaru jest p. Rapacki, wreszcie pomocnikiem reżyserów p. Narkiewicz.

P. Laudowa Horzicowa, pierwsza artystka dramatyczna sceny czeskiej („Narodnego Divadla“) porobiła starania o gościnne występy na scenie warszawskiej. P. Horzicowa, jest znana dobrze lwowianom, występowała bowiem dwukrotnie z wielkiem powodzeniem na naszej scenie.

Teatr polski w Petersburgu. W połowie listopada r. b. zjeżdża do Petersburga na szereg występów artystka teatru krakowskiego, p. Gabryela Morska wraz ze swoją trupą. Z Petersburga artystka uda się do Moskwy, Rygi, Charkowa, Jekaterynosławia, Kamienskoje i Odesy.